

lowej. Babcia szykowała się do wyjazdu w milczeniu; włożyła też suknię z czarnego materiału. Dlaczego nie odprowadziłam jej na stację, dlaczego wołałam w ogrodzie grać z Gretel w piłkę? Czasem dobrze jest być dzieckiem, a czasem nie. Babcia chyba myślała, że może już nigdy więcej nie zobaczyć syna. Wujka odkomenderowano na front zachodni. Teraz toczy się tam bitwa o Antwerpię. Zdobyto już twierdze: Lierre, Waelhem, Koningshooikt i 30 dział. Możliwe, że wujek będzie świadkiem upadku Antwerpii. A może nawet upadku Verdun.

Czy wojna skończy się do Bożego Narodzenia, jak sądzono na początku? Willi mówi, że wątpi.

4 października 1914

Rosjanie zostali pokonani w krwawej bitwie pod Suwałkami. Zdobyliśmy 3000 jeńców, 18 dział, w tym ciężkich, wiele karabinów maszynowych, pojazdów i koni.

6 października 1914

Wczoraj w Pile panowało gorączkowe napięcie. Już od rana wszystkie oczy wpatrywały się w niebo. Skądś dotarła wiadomość, że widziano dwa rosyjskie samoloty lecące w kierunku miasta. Podobno miały za zadanie zniszczyć dworzec główny, bo niemieckie dowództwo zamierzało przegrupować wojska. Można sobie wyobrazić te emocje. My z Willim jak koty krążyliśmy cały dzień dookoła stacji. Znowu zamknięto mosty dla przechodniów bez dokumentów. To nas zmartwiło, bo zamierzaliśmy obserwować niebo z Góry Karola¹¹⁰.

– Jak wysadzą stację, to my też wylecimy z nią w powietrze – powiedział Willi. – Chciałabyś wylecieć w powietrze?

– Nie, a ty?

– Nie, ja chcę kiedyś w życiu pojechać do Meksyku – powiedział Willi, który pasjonował się Meksykiem. On, jak miał dwanaście lat, wygłosił przed zaproszonymi gośćmi prelekcję o Meksyku.

– A ja chcę zobaczyć cały świat! – zawołałam.

Postanowiliśmy nastraszyć ciocię Luizę Otterową, zapukaliśmy gwałtownie do jej drzwi i zawołaliśmy: – Samoloty nadlatują!

– Gdzie, gdzie? – usłyszeliśmy krzyk cioci. – Georg, Georg, samoloty!!

Przycupnęliśmy na stopniach i śmialiśmy się do rozpuku. Słyszeliśmy, jak ciocia zamyka drewniane okiennice i biega tam i z powrotem w swoich bucikach na obcasie. Nastraszyliśmy też naszą pannę Marynię, która wracała

z zakupów, wołając, że samoloty będą tu za pół godziny. – Marsz do łóżka! – zakomenderowała trzęsąca się od stóp do głów Marynia. Willi zastanawiał się, czy w łóżku bombowce nie rozerwą nas na strzępy. Lepiej byłoby pobiec na drugi koniec miasta, do parku miejskiego. Wieczorami dziewczyny, żołnierze i gimnazjaliści chętnie chodzą na spacer do parku. Ale Marynia nie dała się nabrać. Kazała nam iść spać, no i spaliśmy jak zabici.

Dzisiaj rano wszystko wróciło do normy. Samoloty nie nadleciały i stacja ciągle stała. Kiedy szliśmy do szkoły, moja przyjaciółka Dora Haensch opowiadała: – Całą noc czuwaliśmy, bo wiesz, mieszkamy naprzeciwko stacji. Łatwo mogło się coś wydarzyć.

To prawda. Wprawdzie my też mieszkamy blisko stacji, ale Dora mieszka o wiele bliżej. Haenschowie wzięli w dzierżawę dworcową kantinę dla kolejarzy. Zapytałam:

– Czy w nocy na stacji w budynku dworca byli wartownicy?

– Oczywiście – odpowiedziała Dora. – Na stacji było z pięćdziesięciu ludzi i dwóch oficerów, zostali umieszczeni w wartowni policji i na naszym dachu.

– Cudownie! – zawołałam. – Działo się coś jeszcze?

– Mnóstwo się działo – powiedziała Dora. – Wyraźnie widać było poustawiane karabiny maszynowe i reflektory.

Zapytałam, czy reflektory oświetlały niebo.

– Oczywiście – odpowiedziała Dora – co godzinę, ale słabo.

– Ale potem – westchnęłam – samoloty nie nadleciały.

– Nie.

– A niech to! – powiedziałam ze smutkiem. – Byłoby naprawdę pięknie umrzeć dla ojczyzny.

Dora parsknęła śmiechem. Dygnęłyśmy, bo minęła nas panna Gumprecht z torbą książek pod pachą, która iście germańskim krokiem kroczyła do szkoły parafialnej. Tak błaznując, dotarliśmy do naszej wyższej szkoły dla dziewcząt. W oknie swojego gabinetu stał dyrektor; kiedy mnie zobaczył, zachmurzył się. – Lepiej się ulotnijmy – szepnęła Dora i co sił pobiegłyśmy korytarzem do naszej klasy.

Wieści z gazet: Z fortów koło Antwerpii zdobyte zostały Kessel i Broechem. Forty kolejowe na linii Mechlen – Antwerpia również zdobyte. Pod Verdun nic nowego.

7 października 1914

Wujek Bruno pojechał na front. Babcia wróciła do Piły pociągiem. Przespała kilka godzin, potem włożyła pielęgniarską sukienkę w paski, przypięła białą

czepek, zawiązała biały fartuch i skoro świt poszła na stację opiekować się żołnierzami. – Szanowna pani to sama się kiedyś wykończy – zrzędziła Marynia.

– Daj spokój, Maryniu – powiedziała babcia – wolę pracować, niż siedzieć beczynnie w domu.

Nie wróciła do domu prawie do 7 wieczorem. Prawie wcale nie ma już darów miłosierdzia. Czerwony Krzyż musi wszystko kupować sam: chleb, mięso, warzywa strączkowe, kartofle, kawę i co tam jeszcze trzeba. Mieszkańcy tłumaczą się, że każdy ma jakichś krewnych albo znajomych na froncie, do których musi wysłać paczki. Produkty spożywcze przynoszone są na stację tylko w poniedziałki, kiedy służbę ma babcia. Tym sposobem w poniedziałki mamy czasami jajka, koniak i wino, a we wtorki już nie. Babcia rozdziela alkohol skrupulatnie. Dostają go do picia tylko ranni i słabi.

Na stacji zatrzymuje się wiele pociągów sanitarnych. Są pomalowane na szaro, a na ścianach i dachach mają wielkie czerwone krzyże. I swoi, i wrogowie wiedzą, że znaczy to: „Uwaga, ranni! Nie strzelać!”.

Koło pociągów sanitarnych jest zawsze cicho. Czasem jacyś lżej ranni, chwiejąc się, wychodzą na zewnątrz poprosić o coś na pokrzepienie. Często przychodzą sanitariusze po kawę dla personelu medycznego albo dla spragnionych rannych, którzy nie mogą chodzić. Czasami z pomieszczenia dyżurujących na dworcu diakonis sanitariusze zabierają szybko nosze i przynoszą z pociągu ciężko rannego, który nie może znieść trudu dalszej podróży, albo umierającego. Potem przyjeżdża ambulans i zabiera go do wojskowego lazaretu.

Jednemu z żołnierzy podczas przenoszenia otworzyła się rana. Przez cienkie bandażę przesiąkała krew, a jej krople utworzyły na ziemi długą, czerwoną strużkę. Żołnierz miał gipsową twarz i na wpół otwarte usta, które wyglądały jak czarna jama.

– Temu to już wszystko jedno – powiedział, przechodząc koło nas, sanitariusz, który pomagał nieść nosze.

Kiedy to usłyszałam, tak bardzo przestraszyłam się, że umierający mógł to usłyszeć, że krzyknęłam tak głośno, jak tylko mogłam: – Wcale nie! On się ma o wiele lepiej.

– Cóż, jeśli panienka tak uważa – powiedział przyjaźnie sanitariusz.

Kiedy byłam jeszcze mała, mogłam mieć ze trzy albo cztery lata, uciekłam raz babci i zabłądziłam na uliczkę Karola¹¹¹. Przed jednym z domów stał karawan, a przez otwartą bramę wchodziło do domu wielu ludzi. Byłam ciekawa

i też weszłam do środka. Pamiętam dokładnie, że ubrana byłam wtedy w sukienkę w biało-czerwone paski, bez butów i rajtuzów, bo było gorące lato. Dziwaczny strój, jak na pogrzeb! Nagle znalazłam się przed trumną, w której leżał nieboszczyk w czarnym garniturze. Z prawej i lewej strony jego głowy paliły się świece. Dużo ludzi płakało. To był robotnik, który spadł z rusztowania i skrzył kark. Właśnie stanął za trumną inny mężczyzna, też ubrany na czarno i z czarną książką w ręku, pastor, kiedy wydało mi się, że umarły podnosi się i uśmiecha się do siebie. Widziałam nawet, że otwiera oczy. I wtedy wrzasnęłam swoim piskliwym głosem: – On żyje! Zobaczcie wszyscy, on żyje! – Pastor natychmiast objaśnił uroczystym głosem: – To bez wątpienia prawda, umiłowany w Panu – żyje! Usta dziecka ogłosiły odwieczną prawdę! – Kiedy ludzie obrócili się w moją stronę, pomyślałam, że za chwilę spuszczą mi łanie, no więc tak prędko, jak się tylko dało, przeciskając się między spodniami i spódnicami, wybiegłam na dwór. Był środek białego dnia i aż podskoczyłam z radości.

Przypomniało mi się to teraz, kiedy ten sanitariusz powiedział, że żołnierz umiera.

8 października 1914

Ciężkie walki w rejonie Suwałk i w rosyjskiej części Polski. Bitwa przebiegła dla nas pomyślnie. Wzięliśmy wielu jeńców.

Mówią, że Rosjanin to na ogół marny żołnierz. On nie wie, o co walczy. To musi być prawda, bo inaczej nie wzięlibyśmy takiej straszliwej ilości jeńców. Ale to, co ludzie opowiadają o Kozakach¹¹², to nieprawda. Mówią, że Kozacy są tak słabi, że z tej słabości spadają z koni. Tak, spadają z koni, ale tylko wtedy, kiedy ich postrzelą albo kiedy sami chcą spaść. Często spadają, żeby nas zmylić i nie być celem dla naszych kul. Są wspaniałymi jeźdźcami, jakby zrośnięci z końmi. Pochylają się płasko nad siodłem albo, trzymając się mocno obydwojma rękami końskiej grzywy, zwisają z jednej strony konia w taki sposób, że z przodu ich nie widać. Potem ktoś myśli: „koń bez jeźdźca”. A Kozak strzela spod końskiego brzucha albo przyklejony do końskiej szyi, a jego kula trafia w cel. Często zniemacka atakują nasze przednie straże albo pojedyncze patrole, pędząc na swoich małych, dzikich koniach. Śmierć kozackiego konia to u Kozaka niczym śmierć narzeczonej. Płacze i płacze i już nie chce być szczęśliwy. Uważać, że Kozacy są słabi z głodu, jest błędem. Ze wszystkich rosyjskich oddziałów to oni są najlepiej zaopatrzeni. Prawie wszyscy są synami

chłopów, a ich konie do końca życia są ich własnością. Do niedawna żyli sobie dostatnio w swoich wioskach. Kozacy to wojska, których nasi żołnierze na wschodzie obawiają się najbardziej. Tak mówią ci żołnierze, którzy przyjeżdżają z frontu wschodniego. Profesor Philipp potwierdził to Willemu. Profesor Philipp ma dużą wiedzę o narodach świata.

Pewnego razu zapytano kilku rosyjskich jeńców, których niemieckich oddziałów boją się najbardziej, jeden z nich odpowiedział: „Prusaków z deską i Prusaków z kartoflami”. Najpierw było ogólne zdziwienie. Potem znaleziono rozwiązanie: „Prusacy z deską” (ze względu na czworokątny kształt zakończenia hełmu) to ułani, a „Prusacy z kartoflami” to artylerzyści¹¹³.

Wujek Bruno też jest „Prusakiem z kartoflem” i ma pięknego kasztanowego konia. Kiedyś na placu ćwiczeń w Halle ten koń go zrzucił. Wuj upadł plecami na ścianę stajni, ale nic mu się nie stało. Człowiek nie może sobie wyobrazić, jak nasz wuj Bruno, niezależny naukowiec i mól książkowy, dosiada konia i galopuje.

Najstarszy brat pani Anusi, Paul, który jest kolejarzem, też od kilku dni jest w wojsku. W piechocie, czyli jest „piechurem”, jak to się mówi po żołniersku. A mąż pani Anusi, manewrowy Schönfeld, został odkomenderowany do transportów wożących żołnierzy na front wschodni. Pani Anusia zamartwia się o swojego męża, bo wojskowe transporty często są bombardowane przez wroga.

9 października 1914

Pani Lakoschus, żona dyrektora szkoły, ma czterech synów. Trzej są żołnierzami w niemieckiej armii, czwarty mieszka w Tsingtau w Chinach¹¹⁴. Nie tak dawno temu pani Lakoschus powiedziała babci, że jej syn w Chinach jest jakby na przegranej pozycji, bo nie służy w wojsku. Babcia odpowiedziała jej, że powinna dziękować Bogu, że jej dziecko jest bezpieczne.

Tymczasem akurat ten syn został zabity! Niedawno przeczytaliśmy wojenny komunikat niemieckiej armii.

W ataku na Tsingtau oddziały japońskie i angielskie zostały zmuszone do odwrotu ze stratami 2500 żołnierzy. Efekt ognia niemieckich min, dział i karabinów maszynowych był niszczycielski. Prawe skrzydło nieprzyjaciela ostrzeliwały skutecznie austro-węgierski krążownik „Cesarzowa Elżbieta” i niemiecka kanonierka „Jaguar”.

¹¹³ Pikielhauby używane w prawie wszystkich formacjach wojsk pruskich, miały różne odmiany: skórzane niechoty i stalowe kirasierów zakończone były szpicem. ułańskie w miejsce szpica miały czworokątne „deski”.

Wiedzieliśmy, że wojna toczy się na Dalekim Wschodzie, tak daleko od nas, a my do tej pory nie wiemy, jacy tam giną żołnierze. Syn pani Lakoschus nie był żołnierzem, był inżynierem. Prawdopodobnie zginął podczas bombardowania miasta.

10 października 1914

Zimno, zimno! Jak przejeżdża się przez nasz kraj, wszędzie zamiast mężczyzn widać pracujące w polu kobiety. Grubo okutane, w długich rzędach wybierają brukiew i sprzątają pola. Jesienią szkoły wysłały na wieś wielu uczniów do pomocy kobietom w wykopkach, ale uczniowie szybko wrócili do domu. Willemu zabroniono takiej pracy, ma słabe serce, bo zbyt szybko rośnie. Myślę, że inni chłopcy mają ten sam problem. Wszyscy mówią, że nie dają sobie rady. Większość bardzo narzeka. Twierdzą także, że są marnie karmieni. Mogę to zrozumieć, że tak jest u drobnych rolników, którzy sami nie dojadają. Chłopcy nie chcą jednak pracować ani dla drobnych rolników, ani dla dużych, ani dla wielkich posiadaczy ziemskich. Uważam, że informacja o marnym karmieniu jest szokująca. Bogaci rolnicy i wielcy posiadacze ziemscy mają naprawdę dużo mięsa, jajek i mleka w swoich składzikach i spiżarniach. Wiem o tym, bo sama to widziałam. Andreas Zorn¹¹⁵, jeden ze szkolnych kolegów Willego, opowiadał, że w jednym z gospodarstw, gdzie pracował z chłopcami z gimnazjum, budzono ich o czwartej rano. Jedli marne śniadanie i po ciemku szli w pole. Zgięci w pole pracowali, godzinami kopiąc brukiew albo wybierając kartofle. Czasem było tak ciemno, że trudno było cokolwiek zobaczyć. Palce drętwiały im z zimna, a ból w plecach nie pozwalał się odgiąć, ale nadal przymuszano ich do pracy. Wielu nie dawało rady, chorowali albo po prostu padali z wyczerpania. Nie było jednak żadnego usprawiedliwienia: – Pracuj dalej, maminsynku! – Z początku chłopcy cieszyli się, że pracują na wsi. Teraz Andreas Zorn mówi: – Końmi nas nie wyciągną więcej na wieś. – Może to i dobrze, że wtedy dyrex nie zgodził się, żebym pracowała na wsi. Od ciągłego schylania znowu mogłabym zacząć krwawić z nosa.

11 października 1914

Wygraliśmy walkę o rejon Suwałk. Wzięliśmy do niewoli 27 000 Rosjan. A na zachód od Dęblińska wzięliśmy kolejnych 5800 jeńców.

Co my zrobimy z tymi jeńcami?! Nieustannie przejeżdżają przez naszą stację pociągi zatłoczone jeńcami, ciągle widzimy długie brązowe płaszcze i ob-